

FERDYNAND OSSENDOWSKI



Orlica

Ferdynand Ossendowski

Orlica

Powieść z życia górali wysokiego Atlasu

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Ferdynand Ossendowski
„Orlica”

Copyright © by Ferdynand Ossendowski, 1925
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy
Projekt okładki: Adam Brychcy
Druk: Warszawskie Zakłady Graficzne i Wydawnicze
Wydawnictwo: Wydawnictwo Biblioteki Dzieł Wyborowych
Warszawa, 1925

ISBN: 978-83-8119-502-7

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

OD AUTORA

W tym roku wydaję obszerny opis swej ostatniej podróży po Afryce Północnej. Ująłem ją w dwóch tomach, gdzie opowiadam o swych obserwacjach, badaniach i studjach, przytaczam mało znane w Europie fakta z historii tej części czarnego kontynentu, w celach poznania miejscowego folkloru przytaczam szereg legend, opisów z dziedziny przesądów, kultów magicznych i pogańskich, pozostałych po Fenicjanach, Kartagińczykach, Grekach, Rzymianach i pierwszych Arabach, przybywających tu z Azji, ukazując na zakończenie duszę muzułmanina północno-afrykańskiego i ideologję Islamu.

Długie i wyczerpujące studja, poprzedzające moją podróż, oraz badania, na miejscu dokonane, pozwalają mi mniemać, iż w zakresie interesujących mnie zjawisk, — kraj ten i jego ludność znam.

W obecnej powieści na tle prawdziwego dramatu, dramatu, który istotnie miał miejsce, w formie romantycznej pragnę pokazać życie górskich szczepów z Wysokiego Atlasu, a więc szczepów Suss, Szleu, Draa, Abda i innych.

Ludzie tych plemion z powodu swego pochodzenia dość tajemniczego, a w każdym razie bardzo mieszanego, z powodu dawnych wojowniczo-zbójeckich tradycyj i niektórych cech swego charakteru, wreszcie z powodu pewnego załamania się w obowiązujących przepisach Islamu, zasługują na uwagę pisarza, gdyż życie ich, ich dusza i odruchy są nader barwne, malownicze i nieraz niespodziewane.

Nie znaczy to bynajmniej, że pisarz chce w tym wypadku fantazjować! Autor snuje opowieść romantyczną na tle rzeczywistych wypadków, pośród odmalowanych z natury psychologij, dekoracyj i typów.

Dowody tego realizmu znaleźć można w dziełach francuskich uczonych: A. Servier, H. Basset, A. Certeux, E. Doutté i najlepszego znawcy Berberów-górali, — francuskiego pisarza Maurycego LeGlaj'a, którego utwory autor gorąco poleca uwadze swoich czytelników.

AUTOR.

Zakopane, willa „Konradówka“,

Sierpień–1925

ROZDZIAŁ I

Na starej drodze karawanowej.

Pomiędzy Tarudantem a hiszpańską kolonją Sidi Ifni istnieje stara droga karawanowa. Przechodzi ona wązkami dolinami, przecinającemi ostatnie uskoki dwóch grzbietów — od południa Anti-Atlasu, od północy — Wysokiego Atlasu. Droga ta niegdyś była bardzo uczęszczana przez kupców, ponieważ temi dolinami przedzierali się oni ze swoimi wielbłędami z Mahrebu^[1] na brzeg Atlantyku i dążyli dalej na południe — do Senegalu po kość słoniową, po towary podzwrotnikowe i po czarne, niby z hebanu rzeźbione, rosłe i płomienne niewolnice, o spiżowych piersiach,

białych zębach i oczach o złocistym, namiętym połysku. Od pięciu lat karawany nie suną już tą drogą, gdyż wytknięto inne szlaki, — krótsze i dogodniejsze.

Pewnej nocy starą drogą karawanową posuwał się mały oddział konny. Byli to jeźdźcy ze szczepu Szleu. Można było ich poznać odrazu z orlich nosów, szlachetnych rycerskich rysów twarzy i postaw, a także z długich włosów, zwisających kosmykami z pod białych zawojów.

Jeźdźcy mieli piękne konie górskie o cudnych, kościstych głowach i cienkich, śmigłych nogach, a byli dobrze uzbrojeni w długie skałkowe karabiny, ozdobione srebrem i perłową masą, prochownice z cyzelowanej miedzi, haftowane, skórzane sakwy-„czakras” z pełnym ładunkiem kul i za pasami krzywe „kumia” obosieczne, do sierpów podobne handzary.

Oddział posuwał się szybko naprzód, i białe lekkie burnusy, jak skrzydła drapieżnych ptaków, miotaly się nad pochylonymi do końskich karków jeźdźcami.

Gdy droga wcisnęła się w głęboki wąwóz, wcinający się w spadki Dżebel Orak, jeźdźcy wstrzymali konie, zeskoczyli z sodeł i, zwróciwszy rumaki pyskami ku wyjściu z wąwozu, wydali krótki, chrapliwy krzyk. Wierzchowce, nawykłe do głosów swych panów, wspinały się na zadnie nogi i, jak strzały, wypuszczone z łuku, pomknęły przebytą już drogą do domu.

Jeźdźcy tymczasem obejrżeli miejscowość i ukryli się za kupami zwałów skalnych i w wyrwach z obydwuch stron drogi.

W wąwozie zaległa i zaczęła się cisza. Najbardziej czujny człowiek nie zauważyłby obecności ośmiu uzbrojonych ludzi, czyhających za skałami.

— Ras ben Hoggar! — rozległo się ciche wołanie z poza

kamieni.

— Co powiesz, Ahmedzie! — odpowiedział jeden z zaczajonych Szleu.

— Czy dobre wybraliśmy miejsce na zasadzkę?

— Lepszego nie znajdziemy na całej drodze! — odparł Ras i zapytał: — Czy wygodne macie do strzału kryjówki, towarzysze?

— Zupełnie dobre! — odpowiedzieli inni. — Widzimy z nich drogę aż do zakrętu nad potokiem.

— Niebezpieczne nasze przedsięwzięcie... — rozległ się niepewny głos Ahmeda.

— Nie mówiłem tobie, Ahmedzie, że jest ono bezpieczniejsze od odwiedzenia kawiarni lub strzału do zająca, — odparł Ras. — Jeżeli jednak boisz się, to lepiej zmykaj póki czas!

— Nie boję się, — zaprotestował Ahmed, — ale nie chcę popaść w ręce wielkiego kaida Glani, który z ramienia sułtana i Francuzów rządzi górami i przysięgał, że nawet kobieta i dziecko mogą bezpiecznie przechodzić drogami górskimi. W zeszłym roku, gdy około Amizmis górale Suss napadli na jakiegoś kupca, kaid schwytał ich, kazał ściąć i głowy ich wywiesić na murach swej stolicy w Tarudant.

— To inna rzecz! — zaśmiał się któryś ze Szleu. — Tu napadniemy na karawanę hiszpańską. Dąży ona bez przepustki wielkiego kaida i bez eskorty jego spahisów. Nikt się o losie tej karawany nie dowie, chyba po roku, albo po dwu, gdy szakale i hieny zatrą resztki śladów. Bądź dobrej myśli, Ahmedzie!

Znowu zapanowała cisza i przez wąwóz przemykał się tylko lekki wietrzyk, szeleszcząc w zaroślach suchych tamaryndów

i aloesów.

Ras ben Hoggar, trzydziestoletni silny i zwinny człowiek, siedział w pierwszej kryjówce, kierując całą wyprawą. On to miał podać sygnał do napadu, wypuszczając pierwszą kulę. Ras wyciągnął się wygodnie pośród kamieni, swój karabin, oparty na skale, skierował na drogę, czekał i myślał.

Dusza jego błąkała się w tej chwili w rodzimych górach około kasby, — wielkiego warownego gmachu, z grubymi murami, wieżycami i potężną bramą; w kasbie mieściła się cała wieś, gdzie dom stał przy domie, gdzie przez wszystkie mury przechodziło szerokie, ciemne przejście, łącząc wszystkie budynki w jedną całość, przypominającą ul z labiryntem woskowych komórek. Góral widział swój dom, a w nim Czar Aziza, najpiękniejszą z kobiet w całej okolicy. Pojął ją za żonę dopiero dwa lata temu, a był szczęśliwy, jak tylko może być szczęśliwy człowiek, którego kocha góralka Szleu.

Ras uśmiechał się do żony, gdyż widział ją wiotką i zgrabną, jak sarna, szybko idącą z dzbanem na ramieniu do źródła po wodę. Szła, prawie nie dotykając sprężystemi nogami różowej ziemi, lekko się kołysząc w wązkich, silnych biodrach. Dumnie niosła wysoką wybujałą pierś i piękną głowę o oczach, jak gwiazdy, i ustach, podobnych do płatków czerwonego oleandru.

Ras kochał i był kochany. Gdy myślał o pieśczętach Czar Aziza, dreszcz biegł mu po grzbiecie i po stawach. Zaczął nadśłuchiwać, gdyż wydało mu się, że dolatuje go głos żony, śpiewającej starą piosenkę góralską.

— Czy uda się nam dziś? — zapytał cichym głosem siedzący obok niego Ahmed.

Ras drgnął i odpowiedział:

— In Cza Allah! Jak zechce Allah!

Tymczasem do mroku nocy wlewać się zaczęły niewidzialne potoki szarych cieniów, później białawych, spływających z gór. Zachichotała gdzieś zupełnie blisko błakająca się w górach hiena, zaszlochała para szakali, gwizdnęły budzące się ptaszki, a z ich ostatnim piskiem wierzchołki gór różowieć zaczęły.

Świtało...

Upłynęła jeszcze godzina i wąwozem przemknął szakal, trwożnie się oglądając. Wtedy Ras podniósł się, obejrzał karabin, podsypał prochu na panewkę, umocował się na kolanach i cicho zakwilił, jak jastrząb. Głucho szczęknęły w wąwozie odwiedzone kurki karabinów.

W pół godziny później w końcu wąwozu zaczerniły się jakieś postacie.

Bystre oczy Rasa dostrzegły obładowane wielbłądy. Szły po dwa i po trzy w rząd, wyciągając się po woli na wąskiej drodze w długi sznur. Z tyłu jechało kilku jeźdźców.

Ras przepuścił wielbłądy, a gdy przed skałą, gdzie się czaił, zjawiała się gromadka jeźdźców, wystrzelił. Zawtórowały mu karabiny towarzyszy. Dwuch jeźdźców spadło z koni, reszta zawróciła i zaczęła umykać.

Karawana dostała się w ręce Szleu.

Wybiegli więc wszyscy ze swych kryjówek na drogę i zaczęli łapać wielbłądy, rozwiązywać wory i paki, przeglądając zdobycz. Byli tak pochłonięci pracą, że nie odrazu mogli zrozumieć, co się stało, gdy rozległy się nowe strzały, po których Ahmed i dwóch innych górali upadło i zaczęło kopać ziemię nogami.

Ras obejrzał się i ujrzał kilkunastu jeźdźców, szybko

mknących drogą i wymachujących karabinami.

Nie namyślając się ani chwili, góral porwał swoją strzelbę i jął, jak żbik, wspinać się na skały, kryjąc się wśród nich i czając, obsypywany kulami eskorty, broniącej karawany. Widział, jak jeden po drugim padali jego towarzysze, rozpraszający się w różne strony, niby stadko spłoszonych myszy.

Ras dotarł nareszcie szczytu gór i tu się zaczął. Słuchał długo i bacznie, lecz pościgu nie było. Wytknąwszy głowę z poza skał, zobaczył ogon karawany, wychodzącej już na obszerną płaszczyznę za wąwozem. Na drodze zaś Ras nie dojrzał ciał zabitych towarzyszy.

— Zabrali ich ze sobą... — domyślił się góral. — Żle! Teraz dowiedzą się, która kasba dokonała napadu. Nie mogę powracać do domu, bo utnie mi wielki kaid głowę. Nie chciał Allah dopomóc przedsięwzięciu Rasa!

Jakieś złe i ciężkie przeczucia ścisnęły serce górala.

Ześlizgnął się z gór na drogę, gdzie padli jego towarzysze. Znalazł tu kałuże krwi i ślad ciał, wleczonych po piasku.

— Zabrali zabitych, czy rannych ze sobą przekłęci kupcy! — zamruczał Ras ben Hoggar i głęboko się zamyślił.

Cały dzień spędził wśród skał przy małym źródełku, które z trudnością odnalazł.

Ras był doświadczonym myśliwym, oddawna wałęsającym się po górach Atlasu o głodzie i chłodzie, więc umiał sobie radzić. Wynalazł kilka sterczących z ziemi gołych łodyg „kemji”^[2] i zaczął je wyciągać. Roślina ta posiadała długie i grube korzenie, które dla siebie woda na wielkiej głębokości pod ziemią, jak prawdziwa mieszkanka pustyni.

W ten sposób Ras zaopatrzył się w paliwo, poczem przygotował sobie strawę, miał bowiem w swojej sakwie kawę, kociołek i duży placek „keseras”, upieczony rękoma Czar Aziza. Przespał się do wieczora, a po modlitwie, o zachodzie słońca, ruszył ku domowi. Szedł lekkim, sprężystym krokiem, nawykłym do szybkiego chodzenia, szedł aż do wschodu słońca; po modlitwie porannej przebrnął rzekę Suss i zapadł w góry. Tu się zaczął około źródła, płynącego w pobliżu jakiejś wioski. Narwał sobie dojrzałych oliwek i parę granatowych owoców, napełnił kociołek wodą i wlał w gęste zarośla fig berberyjskich. Musiał przeczekać dzień, aby po nocy przekraść się do swojej kasby. Wiedział, że w nocy, gdy bramę zamknie wiejski kadi,^[3] stary Ahmed el Azuin do kasby nikt się już nie dostanie, gdyż, podług prawa, do wschodu słońca wejście i wyjście były surowo zakazane.

Ras postanowił więc wysledzić i rozmówić się z żoną, gdy ona pójdzie rano do studni po wodę.

Tak też uczynił. Dzień cały przespał, całą noc znowu szedł i gdy ujrzał nareszcie na jasnym niebie ciemne kontury wieżyc i murów kasby, prześlizgnął się przez gaje oliwne ku małemu białemu budynkowi o półokrągłej kopule i zębatych ścianach. Była to kubba — grobowiec świętego człowieka Sidi Ali el Slimana, który żył niegdyś w kasbie i był kadim przed wiekami. Obok kubby mieściła się głęboka studnia z czystą i cudotwórczą wodą, którą codzień nabierała w dwa wielkie dzbany gospodarna Czar Aziza dla domu.

Wkrótce potem, jak zamilkły nawoływania starego muezzina do modlitwy porannej, z kasby wyszedł tłum kobiet i skierował się ku studni. Zdaleka już Ras rozpoznał swoją żonę. Była

najzgrabniejsza, szła najlżejszym krokiem i była najpiękniejsza.

— Czar Aziza! Umiłowana na całe życie! — szepnął Ras, czując jak serce mu zaczęło gwałtownie kołatać w piersi.

Wkrótce kobiety przeszły blisko od zaczajonego Rasa, a wtedy on dojrzał pochmurne, strwożone oczy Aziza i jej piękną, bladą twarz. Niosła tylko jeden dzban.

— Drugi pewno stłukła — domyślił się Szleu.

Gdy kobiety, nagadawszy się dosyta przy studni, szły z powrotem, Ras zauważył, że Aziza szła na ostatku i bacznie rozglądała się dokoła, trzymając dzban na lewym ramieniu.

Ras gwizdnął zcicha. Kobieta drgnęła i obejrzała się w jego stronę, po chwili, założywszy wolną rękę za siebie, uczyniła jakiś znak.

Ras uśmiechnął się radośnie.

— Mądra i przebiegła, jak orlica — szepnął namiętnie; wiedział teraz, że zobaczy się z żoną.

Istotnie, w porze obiadowej, gdy wszyscy siedzieli w swoich domach w otoczeniu rodziny, Aziza, klucząc po gajach i ogrodach, przyszła do niego.

— Bądź pozdrowiony, panie mój i mężu! — zawołała z wybuchem, rzucając się mu w objęcia i mrużąc swoje promienne oczy pod jego namiętnymi pocałunkami. — Już wiem o wszystkim! Dziś po spytkach umarł ostatni z twoich towarzyszy Hadż ben Abmar, wyznawszy wszystko przed wielkim kaidem. Wiedziałam, że ty nie zginiesz, bo jesteś śmiały, jak „sid,”^[4] i chytry, jak lis. Wiedziałam, że przyjdiesz i czekałam na ciebie, Ras! Nie możesz jednak powracać do kasby! Kadi dostał rozkaz schwytać ciebie i odstawić na sąd do

Tarudantu. Uciekaj! Przyniosłam ci kilka keseras, kawał mięsa i cebuli. Uciekaj jak najprędzej i pamiętaj, że będę czekała na ciebie, chociażby do starości! Bywaj zdrów — niech Allah prowadzi ciebie szczęśliwie! Gdy zapomną ludzie o wypadku, a ty znajdziesz bezpieczne schronisko dla nas obojga, przybędziesz tu i zabierzesz stąd swoją Aziza, swoją żonę i niewolnicę, cień twego ciała i cień twojej duszy. Idź już w imię Allaha!

Nastąpiło krótkie pożegnanie. Rasowi łzy ścisnęły gardło, gdy odchodząca Aziza rzuciła nań ostatnie spojrzenie. Smutek niezgłębiony i rozpacz dojrzał mężczyzna w pięknych oczach ukochanej. Jednak nie było czasu do namysłu. Czając się w krzakach, przypadając za kamieniami, dążył w góry, jeszcze nie wiedząc, dokąd pójdzie i jakie będą ich losy.

Wkrótce już góral drapał się na strome spadki, porośłe gęstym lasem „adrar”^[5] i krzakami oleandrów. Gdy podniósł głowę, ujrzał szczyty Atlasu. Połyskiwały i lśniły się bielą śniegów i wołały go do siebie głosem niezamąconej ciszy i wielkiego spokoju.

ROZDZIAŁ II

Włóczęga.

Ras dopiero przed wieczorem zatrzymał się w głębokiej kotlinie górskiej. Zbiegały tu zewsząd zbocza głównego grzbietu Atlasu, od dołu porośnięte krzakami i drzewami, wyżej — wysoką i soczystą trawą, a jeszcze wyżej — połyskujące barwnymi skałami, uwieńczonymi turbanem ze skrzących się

lodowców.

Ras spędził noc przy małym ognisku, rozpalonem między skałami. Słyszał nieraz, budząc się co chwila, jakieś głosy niewyraźne i chrapliwe.

— Muflony! — domyślił się Szleu. — Jutro zapoluję na nie...

Gdy tak myślał, czujnym uchem zaczął łowić jeszcze inne dalekie odgłosy.

Dolatywały one zrzadka, lecz stawały się coraz wyraźniejsze.

Było to głuche, ponure miauczenie, przerywane niby głośniami westchnieniami.

Ras podniósł głowę i nadśłuchiwał czujnie, zrozumiał bowiem, że niebezpieczny sąsiad krąży dokoła jego kryjówki.

Miauczenie i coraz głośniejsze westchnienia zbliżały się szybko, lecz wkrótce umilkły. Wtedy Ras wyraźnie poczuł, że ktoś groźny i gotowy do napadu przygląda się mu, nie spuszczając z niego źrenic.

Szleu porwał za karabin, a potem cisnął do ognia kupkę suchej trawy i gałęzi. Ogień z trzaskiem i sykiem buchnął wyżej, a jego czerwone cienie pobiegły daleko i drgać poczęły na pogrążonych w ciemności skałach. Ras usłyszał wtedy miękki bieg zwierza, szmer toczących się z gór kamyków i — wkrótce zapanowała cisza.

— Czyżby pantera miała tu swe legowisko, a jam tu wlaź nieproszony, niby do zajazdu w sąsiedniej wiosce? — pomyślał człowiek, zawijając się w swój burnus i kładąc się przy ognisku.

Tak spędził swoją pierwszą noc włóczęgi Ras ben Hoggar, mieszkaniec kazby z Ued Tafdif i najlepszy strzelec z całej okolicy.

Przed świtem Ras zalał wodą ognisko i wyruszył na polowanie. Pamiętał kierunek, skąd dochodziły go głosy muflonów i skierował się w góry, idąc łożyskiem małego potoku, płynącego z pod śniegu, bielejącego na szczytach grzbietu. Minął pasmo lasów i krzaków i wyszedł na spadki, pokryte wysoką trawą i drobnymi krzaczkami kwitnących różaneczników. Góral szybko przecinał piękne łąki szmaragdowej trawy, z bukietami barwnych kwiatów i szemrzącymi strumykami, i ostrożnie się rozglądał. Nareszcie dojrzał stadko muflonów. Potężny, stary samiec o wspaniałych rogach, niby wykutych z ciemnego kamienia, stał na czatach, samkii młódź pasły się dokoła, spokojnie skubiąc trawę.

Ras zaczął się skradać, przypadając do ziemi i czołgając się od kamienia do kamienia, od łągu do łągu.

Muflon zwęszył jednak zbliżającego się myśliwego, a może jakiś kamyk, obsuwając się z pod kolan Rasa, zdradził jego obecność. Baran wydał krótki, trwożny ryk i po chwili całe stado pędziło już w szalonym biegu w góry, przesadzając wysokie zwały kamieni i szerokie szczeliny.

Ras ścigał muflony i znowu podszedł je. Udało mu się podkraść o jakie pięćdziesiąt kroków do najbliższych zwierząt. Wymierzył starannie i chciał już strzelić, gdy stado w największym popłochu zaczęło uciekać, mknąc wprost na Rasa.

Myśliwy strzelił, i jeden z młodych samców potoczył się na dół, porywając ze sobą większe kamienie i zsuwające się lawiny drobnych odłamków i piasku. Nagle pomiędzy skałami mignęło coś żółtą skórą w czarne plamy.

Była to pantera. Ras, nie namyślając się, śpieszył się

z nabiciem swojej strzelby, aby być przygotowanym do możliwego ataku drapieżnika.

Pantera tymczasem znikła Rasowi z oczu. Rozglądał się, napróżno szukając jej dokoła. Myśliwy sądził, że drapieżnik uciekł, spostrzegłszy człowieka, poszedł więc w tę stronę, gdzie stoczył się na dno wąwozu postrzelony przez niego muflon; ślizgał się stromym spadkiem góry, skakał przez szczeliny, jak kozioł skalny, i zbiegał coraz niżej i niżej.

Nagle zatrzymał się, jak wryty, bo usłyszał tuż przed sobą głucho mruczenie, a w chwilę później ryk. Ras ledwie zdążył podnieść do ramienia karabin i strzelić, gdy pantera, zaczajona za odłamkiem szaro-żółtej skały, zrobiła szalony skok. Kula ugodziła bestję już w locie. Upadła i jęła potwornymi pazurami szarpać darninę, rozrzucając dokoła ziemię, trawę i drobne kamienie. Ras jednak nie zdążył jeszcze nanowo nabić swej strzelby, gdy pantera oprzytomniała, zebrała pod siebie łapy i, płaszcząc się na ziemi, przygotowała się do skoku. Szleu odrzucił nienabity karabin i porwał za swój krzywy nóż. W tej chwili pantera runęła na człowieka. Rozpoczęła się walka na śmierć i życie. Zwinny Ras wymykał się panterze, rażąc ją nożem. Drapieżnik obficie broczył krwią, lecz ataku nie przerywał, usiłując wskoczyć na piersi lub na grzbiet myśliwemu.

Widząc, że pantera słabnie, Ras przyjął wreszcie atak; gdy łapy drapieżnika dotknęły jego ciała, schylił się i, wbiwszy krzywe ostrze „kumia”, wyprostował się, pociągając nóż do góry. Pantera z rozwalonym brzuchem i wypadającymi wnętrznościami, runęła, jak rażona piorunem, lecz zdążyła zadać ostatni cios wrogowi. Od tego ciosu wszystko zakołowało

przed oczami Rasa, wszystko się pokryło czarną mgłą. Myśliwemu zapadła się pod nogami ziemia, i potoczył się na dół, nieprzytomny, zlany krwią.

Widocznie Allah gniewnym okiem spoglądał na Rasa, gdyż spotykał go zawód po zawodzie...

Słońce zakończyło swój obieg dzienny i znikło za górskimi szczytami na zachodzie, długie cienie zaczęły się ciągnąć przez łąki ku wąwozom i wylewać się do nich ciemnymi potokami, napełniając je mrokiem i wilgocią. Leżący na dnie głębokiego jaru Ras, dopiero wtedy po raz pierwszy dźwignął się z zalanej krwią trawy. Dźwignął się i znowu upadł na wznak, błądy i wyczerpany. Wkrótce jednak uczynił nowy wysiłek, jęknął cicho i usiadł. Jął macać drżącymi dłońmi głowę, boki, nogi i pierś. Drgnął, ujrawszy straszliwą ranę na piersi. Skóra i mięśnie były zerwane potężnym uderzeniem pazurów i wisały, jak czerwone strzępy łachmanów, zupełnie podobne do przesiąkniętych krwią skrawków poszarpanego burnusa.

Rana piekła i dotkliwie bolała, przy najmniejszym ruchu powodując omdlenie. Silny Ras, walcząc ze słabością, czołgał się dnem wąwozu, szukając wody. Już nocna mgła pełzła z gór na dno wąwozów, przepaści i jarów, gdy ranny doczołgał się do potoku, wartko biegnącego wśród kamieni. Ras, omdlewając z bólu i gorączki, obmył rany, zanurzył rozpaloną głowę do wody, napił się i znowu padł na wznak, ciężko oddychając.

Zemdlał, lecz omdlenie wkrótce przeszło w sen, niespokojny, gorączkowy sen. Gorączka zmieniła się w dreszcze, wstrząsając całym ciałem rannego. Straszne sny i widziadła dręczyły górala. Ras miotał się, krzyczał i jęczał. Coraz częściej widział przed sobą piękną, bladą twarz Czar Aziza. Schylała się nad nim

i skarżyła się, że ktoś krzywdzi ją, nastaje na jej życie, prześladuje i gnębi. Widzenia te były tak żywe, że Ras zerwał się i pobiegł, krzycząc:

— Idę, idę, Aziza, obronię cię, zemszczę się!...

Próżno szukał dokoła siebie karabinu i noża.

Klął i szukał, aż nagle błysnęło mu wspomnienie o walce z panterą, gdy to odrzucił od siebie karabin, a swoją wierną „kumia” zostawił w ciele zabitego zwierza.

— Czekaż Aziza, czekaż, piękna, umiłowana Czar! Obronię cię gołemi rękoma, zębami przegryzę gardziele tym, co krzywdzą cię, moją żonę!

Nic nie widząc i nic nie zeznając, biegł, padał, lecz znowu się podnosił i biegł dalej. Nareszcie potknął się o kamień i zaczął się staczać coraz niżej i niżej, uderzając się głową o kamienie i drapiąc sobie twarz i ręce o gałęzie krzaków.

Zemdlał...

Noc minęła, wyrzało słońce i stało już wysoko, lecz Ras wciąż leżał nieruchomo, do trupa podobny, bielejąc w trawie poplamionym krwią burnusem.

Gdy słońce zaczęło przypiekać straszliwie, Ras poruszył się kilka razy i usiadł, podtrzymując rękoma pękającą z bólu głowę.

— Umrę... — jęknął — Umrę, i nigdy już nie nasycę oczu swoich pięknnością Aziza! Nigdy nie wyjdę z tego wąwozu...

Ranny zaczął się oglądać i nie mógł zrozumieć, w jaki sposób dostał się tu na drogę, ponieważ nie pamiętał, że biegł dnem wąwozu, aż upadł i stoczył się z pochyłych spadków do podnóża gór, gdzie przechodziła droga, którą wożono zwykle drzewo i węgiel z Atlasu.

Podnieść się jednak Ras nie mógł; słaby był i przed oczami latały mu zielone i czerwone płatki.

Zaczął więc czołgać się na brzuchu i kolanach od strumyka, gdzie trochę oprzytomniał. Siły zwolna mu powracały.

— Odpocznę i ruszę do domu... Niech mnie sądzą i stracą, lecz muszę ujrzeć żonę i być pogrzebany, jak prawdziwy mumen...^[6]

Nie miał jednak sił, aby się podnieść i iść, mógł tylko czołgać się, pełznąć, jęcząc i omdlewając z bólu i zmęczenia.

Pełznął więc w stronę szczytu Sahridż, od którego zaczynała się właściwa droga do jego wsi. Przeczółgawszy się około stu kroków, zemdlał z wyczerpania.

Obudził się od przyjemnego zimna i nagle ustającego bólu. Ujrzał nad sobą jakiegoś starszego człowieka w białym zawoju na głowie. Człowiek ten przemywał mu rany na głowie i piersi i przykładał jakieś ziółka, które wyjmował ze skórzanego woreczka, wiszącego na pasie. Obok stał osiołek z dwiema torbami, przerzuconemi mu przez grzbiet.

— Kim jesteś? — spytał Ras słabym głosem, usiłując podnieść głowę.

— Leż! — rzekł rozkazującym głosem starzec. — Jestem Abd er Ferhut, kahin i hakim.^[7] Mieszkam tu w górach, jeździłem na poszukiwanie ziół magicznych i leczniczych i znalazłem ciebie omdlałego. Rany twoje są niebezpieczne, gdyż pazury namera^[8] o tej porze roku są pełne jadu. Zawiozę cię do swego domu, gdzie musisz długo leżeć, aż się wyleczysz, inaczej — śmierć!

Stary czarownik napił rannego zimną wodą źródlaną, owiazał mu szmatami, oderwanymi od burnusa rany, i z wielkim

trudem wsadziwszy go na osiołka, ruszył z Rasem w drogę.

Osiółek zszedł niebawem z drogi i zaczął się wspinać spadkami gór.

— Gdzie mieszkasz, Sidi?^[9] — zapytał Ras.

— W grocie szakali — odpowiedział starzec. — Francuzi ścigają lekarzy berberyjskich, a wielcy Kaidowie dopomagają im w tem. Muszę się kryć, mieszkać na odludziu, lecz wierni znają siłę leków moich i znajdują moją kryjówkę.

— Słyszałem o tobie nieraz, Sidi Abd-er-Ferhut, — szepnął Ras słabym głosem. — Jesteś dobroczyńcą ludzi cierpiących i moim teraz, jakżeż ci się odwdzięczę?

Stary hakim zamyślił się. Milczał długo, aż rzekł:

— Opowiedz mi, co ci się przydarzyło?

Ras opowiedział o zajściach ostatnich dni, a więc o nieszczęśliwym napadzie na karawanę, o śmierci towarzyszy, o grożącej mu zemście wielkiego kaida Glai, o porzuconej żonie i o wypadku na polowaniu.

— Zabiłeś, młodzieńcze, panterę! — wykrzyknął stary. — Możesz mi się odrazu odwdzińczyć za pomoc i leki. Czy jesteś dość przytomny i silny, aby przypomnieć sobie miejsce, gdzie leży zabity przez ciebie zwierz?

— Jeżeli znajdziesz czerwone skały Dżurf, wskażę ci to miejsce, Sidi, — odparł Ras.

— Czy czujesz w sobie dość siły, aby dojechać tam? — pytał niespokojnie hakim.

— Myślę, że tak! Czuje się silniejszym teraz i ból mi nie dolega — rzekł ranny.

— No, to jedziemy, bo gdy drugie słońce zajrzy zabitej

panterze w oczy, straci ona siłę magiczną — objaśnił starzec. — Musimy się spieszyć.

Ras dopomógł czarownikowi wyszukać zabitego zwierza. Starzec był uszczęśliwiony i odrazu wziął się do roboty. Wydłubał panterze oczy, wyrwał jej niektóre kły i pazury, wyciął serce i worek żółciowy i wkońcu zdarł z grzbietu duży kawał skóry.

— Co będziesz, Sidi, robił z tem wszystkim? — pytał zdziwiony Ras.

Abd-er-Ferhut usiadł przy nim i, starannie zawijając w szmaty swoje skarby, objaśnił:

— Potrzebne mi to było oddawna na talizmany, na najbardziej potężne „herz”^[10] przeciwko ranom i śmierci od kul i noża, na podniecenie odwagi, a żółć — na lekarstwo dla synów sułtana. Żaden z hakimów i kahinów w Mahrebie^[11] nie posiada takiego skarbu, jaki trafił dziś w moje ręce! Niech Allah wynagrodzi cię, synu!

— To ja musiałbym wyrzec te słowa przed tobą, Sidi! — odparł Ras, całując, podług zwyczaju, starca w rękę i w poję jego burnusa.

Późno w nocy dowiózł stary czarownik rannego do swej jaskini. Zanim weszli do wnętrza, hakim wyjął ze skrytki w skałach butelkę z olejem, nalał z niej do małej lampki kilka kropel, zapalił knot, a później oderwał od burnusu Rasa pasemko, przesiąknięte krwią.

— Gdy wejdziemy do groty, gdzie, jak wiesz, zawsze mają swą siedzibę dżinny^[12], postaw na ziemi lampkę i spal na niej ofiarę z własnej krwi, mówiąc dziewięć razy te słowa; „Demrat-i-afrit, Mudib, El-Ahmer, Borkan.”^[13] To powinno przebłagać

duchów, będą one miłosierne dla ciebie, synu!

Ras uczynił tak, jak radził starzec, i wkrótce leżał już na miękkim pościeliu w zimnej jaskini, gdzie cicho dzwonił strumyk, wytryskujący z piersi górskiej, i potrzaskiwał ogień, rozpalony przez czarownika, gotującego strawę.

Ras spędził dwa tygodnie w kryjówce Abd-er-Ferhuta, czając się w głębi jaskini, gdy do lekarza przychodzili chorzy i potrzebujący jego rady nie tylko górale Szleu, Suss i Draa, lecz nawet Berberowie z północy, z ziemi Dukkala, Cziadma i Ben-Ahmer. Wkrótce ranny mógł już chodzić, więc pomagał swemu dobroczyńcy w poszukiwaniu i zbiorach drogocennych i magicznych roślin, używanych w lekach, talizmanach i amuletach, a więc henna, harmel, udn-ed-far, takandin, kerbiuna, aloes, korzeni dzikiego szafranu, kory drzewa adrar i setek innych traw, ziół, drzew i owoców; łapał w sidła czubate dudki i sowy, polował na hieny i szakale, bo z mózgu, żółci, oczu i serca tych ptaków i zwierząt Abd-er-Ferhut sporządzał czarowne, tajemnicze nufra, hedżab, herz, dżeduel i inne talizmany, których nazwy góral nie mógł zapamiętać.

Tymczasem tęsknota za żoną nie opuszczała go. Ciągłe widział ją przed sobą, trwożył się jej losem, rwał się duszą i ciałem do swej „orlicy”, szeptał bezdźwięcznymi ustami tysiączne słowa miłosne a pieszczotliwe; po nocach rozmawiał z nią, miotał się, budził się, myśląc, iż przyszła do niego, a później, ściskając zęby, łkał i syczał z bólu i rozpacz.

— Daj mi, Sidi, amulet, aby zabić tęsknotę za Czar Aziza — wołał w rozpacz, całując po rękach starca.

Ten smutnie kiwał głową i odpowiadał:

— Tęsknota za kobietą jest siostrą miłości, synu mój! Wielka

miłość — to dar Allaha. Jakżeż mogę odbierać ci dar Allaha? Mogę dać ci amulet, który odda miłość twoją w ręce złego ducha, a ten zabije tę miłość na zawsze, bezpowrotnie. Chcesz-li tego?

— O nie, dobry Sidi, o nie! — wołał góral. — Wolę jeszcze gorszą mękę, lecz bez miłości do Aziza — umrę! Umrę, Sidi!

Ras głową bił o ziemię, twarz sobie do krwi drapał i krzyczał z tęsknoty.

Pewnego poranku podszedł do czarownika i rzekł:

— Niech Allah ma cię Sidi, w swojej opiece! Allah el Muhaimin, Allah en Nur, Allah el Hadi, Allah el Abad^[14], niech będzie błogosławiony Allah we wszystkich swych dziewięćdziesięciu dziewięciu imionach i niech On wynagrodzi cię za mnie — niegodnego niewolnika swego, swego sługę i wyznawcę! Muszę już iść, bo w bezczynności nie uporam się z myślami i tęsknotą moją... Będę coś przemyślał, coś robił, aby prędzej czas biegł i aby rychlej przyszła godzina, gdy będę mógł założyć nowe gniazdo, rozpalić swoje ognisko i ujrzeć przy nim Czar Aziza. Niech Allah Akbar ma cię w swej opiece, dobry starcze!

Ucałował ręce czarownikowi, do kolan mu padł i poszedł, odprowadzony smutnem wejrzeniem dużych czarnych oczu Abd er Ferhuta. Milczał stary czarownik, nie mógł słowa pociechy znaleźć w swej głowie i sercu, gdyż rozumiał, że Allah rzucił odchodzącemu taki dar, który przygniata go do ziemi i łatwo zamienić się może w przekleństwo, karę i zagładę.

— Za duża jest ta miłość dla serca Rasa ben Hoggara! — myślał stary czarownik. — Ciężki kawał złota, włożony do małego wora, rozrywa go i toczy się z góry, a inni ludzie

podnoszą złoto, rozerwany zaś worek wyrzucony zostaje, jak łachman, nikomu nie potrzebny... Biedny, nieszczęśliwy Ras ben Hoggar! Dokąd poprowadzi cię twój los nieubłagany?

Starzec opuścił głowę stroskaną i zapatrzył się w ogień, gdzie żarzyły się szkarłatne i złote węgle i powoli znikwały bez śladu, zlewając się z szarą, martwą warstwą popiołu...

KONIEC.

Przypisy

[1].Mahreb — arabska nazwa Marokka.

[2].Arabska nazwa rośliny górskiej.

[3].Kadi — wójt i sędzia.

[4].lew.

[5].arabska nazwa drzewa tuji.

[6].Mumen — prawdziwy Muzułmanin.

[7].Kahin — czarownik, hakim — lekarz.

[8].Namer — pantera.

[9].Sidi — pan.

[10].Amulety.

[11].Marokko.

[12].Dżinn — duch, demon.

[13].Niezrozumiałe słowa, używane w zaklęciach. Prawdopodobnie są to zaklęcia, pozostałe po Kartagińczykach.

[14].Rytualne imiona Allaha.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa
i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

